

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.



Wiosna Stasi.

Po szpitalnej cichej celi
Promień słońca mży z ukosa.
Już nad ziemią mgła się bieli,
Z niebios wonna kapie rosa.

Świecą w słońcu ściany białe,
Złote pyłki w słońcu płyną,
Świętych lica poczerwiały
Staroświecką lśnią patyną.

A za oknem brzoża wzdycha,
I rozhwor dzwoni ptasi...
Nad łóżeczkiem chorej Stasi
W słońcu Siostra staje cicha.

Śnieżny kornet nad nią chyli,
Dłonią muska włosy płowe.
Co jak złoty rój motyli
Osypały dziecka głowę.

W lazuruwej szklanej czarce,
Drży fioletów pęczek wiotki...
Ze ścian święte patrzą starce
Na wesołość swej pieszczotki.

Stasi ciężko płynie życie —
Matus dawno leżą w grobie.
Więc na szarym, na habicie
Kornie składa rączki obie.

„Skąd te kwiatki?” — „Z Bożej łaki
Gdzie się mech kobiercem ściela,
Gdzie na święto, na niedzielę
Z mgieł liliowe dzwonią dzwonki...”

Dziecko słucha i wspomina...
... Wiosna, ranek w ciepłym gaju,
Krzywa wierzba na rozstaju
I zapaska matulina...

W okna wnące kratowanej
Stoi blady sierp księżycy. —
Zbłękitniały białe ściany,
Pociemniały świętych lica.

Dziecko duma, dziecko marzy
Jakieś kwiaty, czyjeś skrzydła...
Jakby z mrocznych korytarzy
Zaleciała woń kadzidla.

Coś jej w oczach zaświtało
Niby łzami, niby rosą,
Jakby anioł z lilią białą,
Kwiaty trącił stopą bosą.

Dzwoni w sercu wieść radosna
Od dalekiej ojców chatki...
„Wiosna idzie, wiosna, wiosna!...”
...Drżą fijołków wonne płatki...

Miles.

PSIE POLE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA DLA MŁODZIEŻY

przez

Włodzimierza Trąpczyńskiego.

(Dalszy ciąg).

Dlaczego to, jak opętaniec, rozbijasz się po drogach i tratujesz ludzi, którzy zbiegli się, ażeby się przypatrzeć wjazdowi naszego monarchy? — gniewnie oburknął Sieciech i dodał. — Jeżeli chciałeś tem okazać gorliwość swoją, to w złą wybrałeś się porze.

— Miłościwy wojewodo — wyjąkał Dytram, zsiadł z konia i czołobitnie objął kolana wszechwładcy — przywożę tak ważne wieści, że gdybym mógł, to nie tylko konia zamęczyłbym na śmierć, ale na skrzydłach przyfrunąłbym na wasze spotkanie,

Sieciech pogardliwie wydał wargi.

— Zawsze masz jakieś wieści zatrwazające, a potem okazuje się, że z wielkiej chmury spada bardzo mały deszczyk. Opowiesz mi to później, a tymczasem usuń się z drogi, za chwilę wjedzie tu orszak królewski.

Stonóg tym razem nie posłuchał natychmiast rozkazu, obejrzał się tylko na wszystkie strony, a widząc, że jest bezpieczny, przysunął się bliżej do wojewody i szepnął:

— Tu niema ani chwili czasu do stracenia, Zbigniew...

Sieciech drgnął, a Stonóg urwał i tryumfująco patrzył na swego pana.

— Mówże dalej! — ofuknął wojewoda.

— Zbigniew zbiegł z klasztoru i jest tu w Wielkopolsce.

— Gdzie? — huknął już Sieciech groźnie.

— W domu Judy Natana w Gostyniu pod Świętą Górą.

— W takim razie wysłać natychmiast oddział toporników, złożony z dwudziestu ludzi, można im jeszcze dodać ośmiu opancerzonych giermków z mieczkami niemieckimi. Zbigniewa i jego sojuszników pojmać, dom Judy zburzyć, ażeby kamień nie pozostał na kamieniu — syczał Sieciech i targał piekną, fałdującą się brodę.

— Stanie się wedle woli waszej miłości — odparł cicho Stonóg, znał bowiem gniew swego pana i wiedział, że przeczyć mu w chwili porywu takiego szалу, rzeczą było niebezpieczną. Dla tego też odczekawszy dopiero, aż się wojewoda wysapie i wyszumi, ośmielił się wtrącić:

— Czy może wasza miłość rozkaże, ażebym ja nad tą wyprawą objął dowództwo?

Sieciech zmierzył mówiącego od stóp do głów, a na ustach zaigrał mu na chwilę uśmiech szyderczy, który znikł zaraz.

— Chyba ci się w tej twojej ryżej głowie przewróciło doszczętnie. Ty i dowództwo! A czyż wiesz, trutniu, że rycerzem być potrzeba, ażeby z mieczem uderzać na możnych Wielkopolan? Tobie przystoi służba psa, wyłża lub ogara, który węszy i goni, ale nie rycerskie rzemiosło.

Stonóg podniósł oczy i łysnął niemi w stronę wojewody tak złośliwie, że dumny Sieciech może zdrząłby, gdyby był ujrzał to spojrzenie przelotne sługi. Ale wojewoda wzrok spuścił ku ziemi, wargi mu drżały a krew uderzała do głowy. Zdawało się, że zapomniał zupełnie o istnieniu powiernika.

Z zadumy zbudziły go dopiero okrzyki ludzi, a potem śpiew księży i mnichów, którzy w wielkiej liczbie, w stroju pontyfikalnym wyszli na powitanie monarchy. Halabardnicy i gromada laurów roztrącali zebrane tłumy, ażeby orszak miał przed sobą wolną drogę.

A witajże nam, witaj miły gospodynie.

Starą pieśń zaintonował sędziwy biskup, który aż z Włocławka przybył do Kruszwicy na czele mnogiego kleru z pod Nieszawy i Inowrocławia, z pod Łowicza i Mogilna, z pod Nakła nawet, i z pod Białogłowa.

Sieciech, usłyszawszy te pienia chóralne, wyprostował się na koniu, ściągnął uździenicę i krzyknął:

— Pędz natychmiast do starosty załogi i powiedz mu, ażeby wybrał ludzi zbrojnych. Dowództwo niech obejmie Dzierżek z Samostrzela. Słyszysz! Stonóg — dokończył groźnie — jeżeli przywieziecie wieść kłamliwą, jeżeli Zbyszka nie dostawicie mi tu żywcem i jeżeli król i Bolko dowiedzą się czegośkolwiek, to...

Sieciech dobył miecza i świsnął nim przed oczami sługi.

— To dasz gardło! — dorzucił w końcu, wpił ostrogę w konia z taką siłą, że aż dzielny rumak wspiął się i stanął dęba. — Ruszaj żywo!

Stonóg nie czekał na powtórzenie rozkazu, wskoczył na ledwie dyszącego i bokami robiącego kasztana, raz tylko się obejrzał i zobaczył, że Sieciech jak strzała, mknie ku kolebie Władysława Hermana, a pogroziwszy pięścią oddalającemu się wojewodzie, wpadł na podwórzec zamkowy i skierował się wprost ku wieży, na której szczycie dniem i nocą chodzili wartownicy, wyteżając wzrok, ażali z której strony nie ukaze się jaki oddział podejrzany, albo też nie pomkną Gopłem dobrze znane, małe, zwinne łodzie sąsiadów pruskich.

Wehodząc w bramę wieży, Stonóg otrząsnął się niemile, znał on tu wszystkie kąty i krużganki, wiedział też, że po lewej stronie znajduje się płyta żelazna, dla nieobeznanego zupełnie niewidoczna! Płytę ową uchylano bardzo rzadko, biada zaś tym, przed którymi się ona rozwarła... Ztąd bowiem wiodły najpierw ku dołowi, a potem szybko zwracając się ku górze wązkie schody kamienne ku lochowi, gdzie

woda spływała po ścianach, a szczury i myszy urządziły z piskiem i wrzaskiem harce wstrętne. Loch jedno miał tylko okienko, silnie zakratowane, a to okienko umieszczone było na wysokości skoku ponad taflę wód goplańskich. Przy silniejszym powiewie wiatru bałwany uderzały z hukiem i rozbijały się o mury wieży, a gdy wiatr rozszalał się na świecie, woly bryzgały wielką falą aż ku wnętrzu lochu.

Stonóg drgnął, mijając płytę, a w jednej chwili przypomniał sobie wszystkich, którzy tutaj wtrąceni do tego grobu przez wojewodę, albo umierali, schnąc z wolna, albo wpadali w szal i głowami starali się roztrzaskać mur gruby, albo czasami wychodzili stąd złamani, przybici, pozbawieni chęci do życia. A poezet był liczny skazańców Sieciechowych, nie mówiąc już bowiem nawet o rycerzach, a właściwie rozbojnikach pruskich, którzy chwytani bywali od czasu do czasu z bronią w rękę, gdy uprawiali grabieżę i łupieztwa w ziemi Polan, loch w Mysiej Wieży gościł często dostojników państwa, a mówiono nawet, że arcybiskup, który piętnował nieczny żywot Sieciecha i odkrył zamiary Judyty, pragnącej po śmierci króla Władysława Hermana poślubić wojewodę i wynieść go na tron Piastów, zginął, przepadł bez wieści pewnej nocy i skończył w lochu w strasznych męczarniach głodowych.

Ludzie mówili dużo, ale domyślali się tylko i tworzyli legendy, Stonóg jednak mógłby kroniki pisać o lochu Mysiej Wieży, on przecież niejednokrotnie sam przykładął rękę do gubienia tych, którzy ośmielili się mieć inne zdanie od wszechpotężnego wojewody. Dopiero też gdy minął owo miejsce, ausznik Sieciecha podniósł głowę i splunął na płytę.

— Głupcze — mruknął do siebie — toć przecież ty się nie pozwolisz Sieciechowi wrzucić do tej nory. Przedzaj wojewoda tu spocznie w łańcuchach, aniżeli ja. Łotr, szubienicznik! Powiedział, że dla mnie tylko psia służba, węszenie i trapienie, a rycerskie rzemiosło dla innych. Ale co począć? Trzeba żyć w pogardzie u ludzi, i czekać cierpliwie nadarzonej sposobności, ażeby się wywdzięczyć za ten kęs kwaśnego kołacza.

Uszedł znów kilka schodów i przystanął, a uderzając się palcem w czoło, mówił dalej sam z sobą:

— Sieciech zagroził ścięciem głowy, jeżeli Zbigniewa nie przydybiemy i jeżeli nie dostawimy go żywcem. Hm! głupia sprawa. Wprawdzie przykazałem Miłkowi i Rupowi, ażeby nie spuszczała królewicza z oczu i trop w trop szli za nim, ale dyabeł nie śpi i Bóg wie, co tam zająć mogło od wczoraj. Ledwo już te nogi powłóczę za sobą, od kiedy bowiem dowiedziałem się o ucieczce Zbigniewa, nie zaznałem spokoju. Całą noc na koniu, to dla młodzika zabawka, ale nie dla mnie, który już piątego dobiegam krzyżyka. A tu znów jedź, pędź, prowadź oddział, i to nie jako dowódca, ale jako... pies gończy. Br! podłe czasy...

Starosta wieżowy stuknął pięścią o stół z wielkiego gniewu, gdy usłyszał kołatanie gwałtowne. Ze szczytu przepiękny roztaczał się widok, a orszak monarszy, zastęp duchownych, wielka hurma zebranego zewsząd rycerstwa, zbroice kowane, miecze lśniące, wszelakiego rodzaju ozdobne uprząże, tkaniny wzorzyste na koniach i na wozach, wszystko to przy blasku zachodzącego słońca, rzucającego złotawo-czerwone promienie na pochód, wyglądało tak wspaniale, że trudno było oko oderwać.

— Zobacz, kto puka — rzekł starosta Wincz z Jarogniewic i nie przestawał zachwycać się korowodem królewskim.

— Stonóg, wasza miłości — odparł czatownik i wpuścił małego, ryżego człowieczka, który zwykle bardzo pokorną przed starostą przybierał postawę, a teraz nabrał jakiejś buty i pewności siebie.

— Dla czego się tu kręcisz? — surowo skierował się Wincz do wchodzącego.

— Już cię nie po własnej woli mączę spokój wasz, miłościwy panie, przychodzę z rozkazu wojewody Sieciecha — a wzięwszy starostę na ubocze, powtórzył mu słowa swego pana.

— Gdzież ja tu teraz znajdę Dzierzka z Samostrzela! — zły mówił Wincz z Jarogniewic. — Taki dzień uroczysty, jak dzisiejszy, zdarza się może raz tylko w życiu, któżby więc dusił się w izbie, kiedy następuje sposobność napawania się cudownymi obrazami.

— Wiem ci ja, że milej odpoczywać, niż się trudzić — odparł Stonóg układnie — ale cóż począć? Taka wola miłościwego wojewody, a jej opierać się nie można. Pozwólcie, panie starosto, że odpocznę na chwilę, całą noc pędziłem, ażeby wam przywieźć to polecenie.

I nie czekając na przyzwolenie, ausznik Sieciechowy upadł na ławę i oddychał ciężko. Wincz liतोściwe miał serce, chociaż więc dziwny wstręt i pogardę czuł do tego przybłądy, widząc kurz w oczach, ustach, brózdę na policzkach i pot brudny na czole Stonoga, wysłał jednego z czatowników po strawę i dzban piwa, a czterech ludzi rozpędził w cztery strony z nakazem odnalezienia Dzierzka z Samostrzela.

(d. c. n.)

POD MIKROSKOPEM.

WIECZORY U MEGO PRZYJACIELA.

Wieczór III.

Mieliśmy dzisiaj mówić o bakterjach — zawolałem, wchodząc na drugi dzień do pokoju pana S.

— Tak, tak, pamiętam o tem — upewnił mnie mój przyjaciel. — Muszę cię jednak uprzedzić, abyś ograniczył swą ciekawość, bakterji bowiem jest tak niezliczone mnóstwo w wodzie, którą pijesz, w powietrzu, którym oddychasz, na twem ubraniu, na ścianach i podłodze mieszkań, słowem wszędzie, wszędzie, że możemy się zapoznać tylko z bardzo nieznaną liczbą tych istot.

— Zaczniemy od tych kulek i pałeczek w kropli wody, dobrze?

— Niestety, nie mogę ci ich przedstawić dokładnie, nie mogę podać ich nazwiska, gdyż bardzo wiele zupełnie odmiennych gatunków bakterji posiada ten sam kształt kuleczki lub pałeczki maleńkiej.

— Po czemże je więc poznać? — zapytałem.

— Po ich czynnościach, po ich działaniu. Możnaby je pod tym względem porównać z człowiekiem — ciągnął uśmiechając się pan S. — wszak i ludzi sądzymy z ich czynów, a nie z kształtu kapelusza lub fasonu sukni, nieprawdaż? Widzisz, wszystkie bakterje mają swoje wyłączne miejsce zamieszkania: jedne przebywają tylko w mleku, inne — w serze, inne — w occie i t. d. Mieszkając, wywołują rozmaite zmiany w swem otoczeniu i właśnie po tem poznajemy ludzkie gatunek bakterji. Zaraz to lepiej zrozumiesz, a teraz, spojrzysz w mikroskop. Przygotowałem ci tam kroplę mleka.

Spojrzałem z ciekawością i zobaczyłem mnóstwo okrągłutkich, przezroczystych jak perełki kuleczek, a pomiędzy nimi drobne pałeczki.

— Ach! ileż w tem mleku bakteryi — wykrzyknąłem z przerażeniem. — I kulki i pałeczki!

— Te kulki, które dostrzegasz, nie są bakteriami — uspokoił mnie pan S. — Są to drobniutkie cząsteczki mleka; — cały płyn biały, który ze smakiem zapijasz codziennie, składa się z takich drobniutkich, perełkowatych kuleczek.

— A te pałeczki? Zupełnie są podobne do tych, które widziałem w kropli wody ze stawu.

— Te pałeczki to są istotnie bakterie; mieszczą one zawsze w mleku i nazywają się bakteriami kwasu mlecznego.

— Dziwne mają nazwisko — zauważyłem,

— Gdy się dowiesz, co one robią, przestaniesz się dziwić ich nazwie.

— A cóż one robią takiego?

— Słyszałeś niezawodnie o mleku słodkim i kwaśnem, nieprawdaż?

— Naturalnie.

— Tak, o tem wie każdy. Ale o tem nie wiesz zapewne, że w mleku słodkim zawiera się rozpuszczony cukier. Jest go tam naturalnie niewiele...

— Mniej niż kładziemy do herbaty, prawda? — wtrąciłem.

— O mniej! W herbacie odczuwamy wyraźnie słodycz, a w mleku smakiem jej nie odróżniamy. Otóż do mleka nalanego do szklanki lub dzierzki, dostają się po pewnym czasie te właśnie drobne pa-

teczki. Jest im tam bardzo dobrze, czują się jak u siebie w domu i zaraz też zaczynają swoją robotę. Żywią się cukrem rozpuszczonym w mleku; wskutek tego cukru w mleku wciąż ubywa i ubywa, a mleko kwaśnieje, przyczem gęstnieje, ścina się i zamienia w tak zwane kwaśne czyli zsiadłe mleko.

— Więc gdyby nie było tych pałeczek, mleko nie skwaśniałoby? — spytałem ze zdziwieniem.

— Przedewszystkiem trudno byłoby nam bardzo nie dopuścić bakteriom przystępu do mleka, gdyż jak tu walczyć z istotą, której się nie widzi? Jest ona tak drobna, że mieszka w szczelinach naczyń mleczarskich, na ścianach obór i piwnic, w powietrzu zresztą! Gdyby nam się jednak udało nie dopuścić do mleka tych bakterii, pozostałoby ono słodkiem, nie uległoby żadnej zmianie. Ale pomyśl, czy to byłoby pożądanem?

— Nie mielibyśmy ani kwaśnego mleka, ani śmietany.

— Naturalnie, bakterie kwasu mlecznego są sprzymierzeńcami mleczarzy i mleczarek, chociaż oni najczęściej nie wiedzą nawet, jakich mają pomocników, nie znają ich, nie domyślają się ich istnienia.

— Więc my, jedząc kwaśne mleko, zjadamy w niem tysiące tych bakterii? — spytałem.

— Nie obawiaj się, los tych drobniutkich istotek jest ogromnie smutny, bo wytwarzając korzystne dla nas warunki, same sobie śmierć przygotowują: gdy zamienią już wszystek cukier, zawarty w mleku w kwas mleczny, nie mają czem żyć i giną. W zsiadłem mleku przeto bakterie te istnieć nie mogą.



MAŁOWNICZA GRUPA GIMNASTYCZNA.

We wszystkich szkołach angielskich gimnastyka i ćwiczenia fizyczne są gorliwie uprawiane przez młodzież. Uprzejmości naszego korespondenta z Anglii zawdzięczamy tę fotografię, przedstawia ona małowniczą grupę uczni V-ej klasy szkoły w Tollingtonie, którzy są znakomicie wygimnastykowani i w takim ustawieniu się mogą wytrzymać około 2 minut.



Czy to zwierzyna?

— Więc one giną z głodu! Ogromnie dziwne opowiadał mi pan dzisiaj rzeczy.

— Jeśli zajmuje cię ten świat niewidzialny, to zapoznamy się jeszcze z niektórymi z tych drobniotkich istotek — ale na dzisiaj dosyć gawędy!

M. Lipska.



(Dalszy ciąg).

Niestety! Rodzice pewni byli, że pozostał na noc u niewidomego i spali spokojnie. Chłopczyk już krzyczeć nie mógł, chciał gwizdać, ale głosu mu zabrakło.

Zaczął się modlić cichutko do Boga, prosząc o pomoc. To go trochę uspokoiło.

— Zostanę tu do rana! — pomyślało męzne dziecko.

— Teraz niech Robby dalej czyta — przerwał nauczyciel.

Uczeń wzruszonym głosem ciągnął dalej.

„Kiedy księżyc na niebie zajaśniał, oświecił sylwetkę dziecka, leżącego na tamie z dłonią przy otworze. Mały męczennik miał głowę pochyloną, ale nie spał, bo od czasu do czasu tął lewą dłonią prawe ramię spuszczone ku otworowi. Czasem podnosił głowę, nasłuchując, a wtedy księżyc patrzył na jego bladą, łzami zalaną twarzyczkę.

Kto odczuć i obliczyć potrafi, ile to dziecko cierpiało w ciągu długiej, okrutnej nocy. Kto zdoła wypowiedzieć te przejścia od odwagi do omdlenia, kiedy myślał o ciepłym łóżeczku, które na niego w domu czekało, o matce, ojcu, siostrach i braciach. Jeżeli usunie rękę, wody — jak myślał — rozgniewane jego oporem, z tem większą wściekłością wpadną na pola i nie zatrzymają się, dopóki całego miasta nie zaleją. O nie! on pozostanie aż do dnia — je-

zeli przedtem nie umrze. Czy ranka dożyje — nie wiedział. Co znaczy ten szum w uszach? Ten ból kłujący, który go od stóp do głowy przeszywa?

Jednakże nie się ruszył, myśląc tylko o zbawieniu wszystkich.

O świcie ksiądz, który noc spędził przy łóżku umierającego, wracał do domu drogą wiodącą wzdłuż tamy; usłyszał jakieś ciche, żalosne jęki i dojrzał zawieszonoego na szluzie chłopczyka.

— Dziecko, co ty tam robisz? zapytał zdumiony.

— Księżu kochany, otwór jest w desce, pilnuję, aby woda nie przeciekała przez tamę — rzekł słabym głosem mały bohater — ale już siły mnie opuszczają. Chciałbym, żeby mnie kto zastąpił.

Ksiądz wszedł na tamę i zajął natychmiast miejsce chłopczyka.

— Och! dziękuję, już nie mogę...

Chłopczyk zdania nie dokończył, bo zemdlął.

Wolną ręką ksiądz zmaczał chustkę w wodzie i wytarł nią twarz chłopczyka, który wkrótce otworzył oczy.

— Dziecko drogie — rzekł ksiądz — czy potrafisz dojść do domu i przywołać strażnika szluzowego?

— Pójdę, pójdę — odparł chłopczyk i zbierając wszystkie siły powędrował do domu.

Niewątpliwie strażnik przybiegł jak mógł najprędzej do szluzu, otwór zabił mocnym kółkiem i oblepił go smołą.

Rzecz dziwna! W tymże czasie, w którym Robby i Genny czytali tę historię o bohaterskim chłopczyku, Lambert opowiadał ją Benowi.

— Dzielne, szlachetne dziecko — wołał Ben. Czytałem już o niem, ale sądziłem, że to bajka dla dzieci wymyślona.

— Bajka! O! wierzaj mi, Benie, że to jest zupełnie prawda! My wszyscy o tem wiemy. Zresztą to dziecko jest uosobieniem narodowego ducha Hollandyi. Gdziekolwiek ukazałaby się szpara zagrażająca bądź to honorowi narodu, bądź to jego bezpieczeństwu, wnet milion dłoni zjawia się ku obronie zagrożonego miejsca.

— Milion! Oho, to bardzo wiele — rzekł Ben.

— Ale tak jest — odparł z prostotą Lambert.

— Szczęśliwy kraj, ukochany przez wszystkich swoich mieszkańców! — westchnął Ben.

— Nie daleko szukając, znajdę ci świeży przykład — odezwał się Piotr. — Zauważyłeś może tego chłopca, który odniósł nam portmonetkę. Otóż on postąpiłby tak samo, jak ów bohater z Haarlemu.

— Ma twarz bardzo szlachetną, widziałem to — odpowiedział Ben.

Karol skrzywił się pogardliwie, czego na szczęście Piotr nie zauważył. Karol nie lubił Janka, wiemy już o tem; lecz kto siebie zbyt kocha, czyż może mieć serce dla innych?

Na kanale pełno było osób. Śliczny dzień świąteczny wywołał wszystkich z domu. Nowe łyżwy lśniły na łodzie. Całe rodziny sunęły ku Haarlem, Lejdzie i wioskom okolicznym. Ben zauważył proste i zręczne postacie kobiet w najróżniejszych ubiorach, kostjummy świeżo z Paryża sprowadzone ocierały się o suknie tak zniszczone, jak gdyby już kilku pokoleniom służyły.

Na kanale spotkać było można strojniesz z Lejdy i rybaków z wybrzeży pobliskich; przekupki z serami i dumne matrony z wielkich pałaców. Kilkoletnie dzieci ślizgały się już, uczepione u ręki matek; kilka wieśniaczek niosło na plecach niemowlęta owinięte w chustki wełniane. Łyżwiarze i łyżwiarki albo mknęli jak strzały, albo też poruszali się wolno, stosownie doochoty; spotykali znajomych i witali ich ukłonem.

Był to widok niezmiernie malowniczy.

Chłopcy i dziewczynki gonili się i chowali za sankami pełnymi torfu i drzewa, które wolno sunęły szlakiem dla koni wyznaczonym.

Całe szeregi chłopców biegły jak iskra, trzymając się za poły paltotów. Tu łód skrzypiał pod fotelem na łyżwach, na którym siedziała jakaś poważna staruszka, albo otyły burmistrz. Fotele wyłożone poduszkami, popychali lokaje tak sztywni, jakby ich w gumie lub krochmalu umoczano. Ale znać było, że nie są to automaty tylko ludzie, po gniewnych spojrzeniach, któremi obrzucali wyrostków, tamujących nieustannie drogę. Większość mężczyzn ze sfery mieszczańskiej trzymała w ustach fajki i puszczała kłęby dymu, jak w ruch wprawione lokomotywy. Można tu było widzieć całą ogromną kolekcję fajek, od prostej, glinianej fajeczki, aż do pianek oprawnych w złoto i w srebro. Kształty miały dość dziwaczne ptaków, kwiatów, głów zwierzęcych i t. d. Były fajki czerwone, białe i żółte, widniały na nich portrety sławnych ludzi.

Ale najpiękniej, zdaniem znawców, wyglądały fajki z pianki dobrze wypalonej, bo oznaczały, że płuca właściciela sumiennie i długo musiały pracować, aby dym przeniknął ją dostatecznie i nadał jej tę dostojną barwę.

X.

Łodzie na łyżwach. — Jakób Poot zmienia plan wycieczki.

Ben łyżwował w milczeniu. Tyle nowych spostrzeżeń pochłaniało jego uwagę, że prawie zapominał o swoich towarzyszach. Przyglądał się teraz łodziom na łyżwach, które sunęły z taką szybkością po jeziorze haarlemskiem, widzialnym z tej części kanału. Olbrzymie trójkątne żagle bieleły się nad łodziami. Sunęły łodzie wszelkich wielkości i kształtów; od małego pierwotnego koryta zaczawszy, aż do ogromnych statków, jaskrawo wymalowanych, wyłoconych, napelnionych ludźmi, ich śniechem, ich wesołością; temi statkami kierowali doświadczeni marynarze. Ci roztaczali lub zwężali żagle, skręcali w bok, w tył, kierowali nawą z całą powagą ludzi świadomych ważności swego zadania.

Łodzie, jak białe, olbrzymie ptaki przecinały w różnych kierunkach powierzchnię jeziora. Benowi zdawało się, że głosy ich słyszy. Ale w rzeczywistości byli to tylko ostrzegające sygnały sternika.

Takie łodzie ukazują się dość rzadko, to też ich widok zwraca uwagę wszystkich, szczególnie nieśmiałych łyżwiarzy. Ben pomimo całego zachwyty pomyślał, że lepiej trzymać się zdaleka od tych rozbujanych statków. Chwilę przystanął, aby przyjrzeć się robocie trzech malców, rąbiących lód z wielkim trudem. Już miał się puścić w dalszą drogę, kiedy nagle coś uniosło go w górę i rzuciło na kolana staruszki, której fotel popychało dwóch lokai. Pani krzyknęła, Ben poskoczył i z kapeluszem w ręku chciał przeproszać... ale pani już była daleko. Widocznie łyżwy fotelu podrzuciły go w górę — stąd cała przygoda.

Lecz był to zabawny drobiazg w obec istotnego niebezpieczeństwa, które mu zagrażało.

Nadjeżdżał na niego statek rozpedzony; Ben ujrzał go tak blisko siebie, że przestraszył przykuł go do miejsca.

Ostatnia godzina nadeszła.

„Na bok! na bok! — wołał sternik, ale Ben ani się ruszył. Nagle ogłuchł, oślepił, stracił przytomność. Kiedy znów oczy otworzył, leżał na łodzie o kilkanaście metrów od wielkiego statku. Żagiel

nuszał go tylko w rozpędzie po ramieniu, i to dokonieście wystarczyło, by odrzucić go na taką odległość. Dzięki Niebu, nic mu nie było! Ujrzy jeszcze Anglię, zobaczy i uściśnie rodziców, siostry, braci, te drogie postacie, które stanęły przed nim, jak ywe, w chwili niebezpieczeństwa. Ze zdumieniem postrzegł teraz, że prawie wszyscy łyżwiarze patrzą nań z oburzeniem.

Roztrzępany chłopak, który przed chwilą uniął śmierci, nie wzbudził współczucia w tych ludziach; swoją nieuwagą mógł im zakłócić świąteczną abawę — to jedno tylko mieli na myśli.

Lambert zląkał go prawie.

— A toś mi strachu napędził! — wołał. — Cóż a nieuwaga! Siadasz ludziom na kolanach, to znów agradzasz drogę łodziom. Jeszcze aanspreckera będziemy musieli do ciebie sprowadzić.

— Dziękuję! — zaśmiał się Ben, ale wnet spoważniał, widząc, że nawet usta Lamberta pobladły z trwogi o niego. — Wiesz — dodał szeptem — zdaje mi się, że w owej chwili więcej wrażeń doznałem, niż przez cały ciąg mego życia.

Lambert dłoń ku niemu wyciągnął, uścisnęli się serdecznie, potem puścili w dalszą drogę.

Dobiegły do nich słabe lecz bardzo wyraźne dźwięki dzwonów.

— Co to jest? — spytał Ben.

— Nasze dzwonki kościelne grają w pobliżu, pewno w tej wiosce. Chciałbym, żebyś usłyszał muzykę w nowym kościele w Delfcie. Jest tam blisko pięćset dzwonów, poruszanych przez najlepszego w Holandii mistrza. I wierzą mi, prawdziwa to sztuka grać na tylu instrumentach jednocześnie; podobno dzwonnik nieraz kładzie się do łóżka po takim koncercie. Wszystkie dzwony łączy tablica klawiszowa, podobna do klawiatury fortepianowej; mówią, że dzwonnik, kiedy wygrywa jaką melodię w prędkim tempie, robi wrażenie potwora o stu rękach, tak szybko rzuca dłońmi na wszystkie strony, a oprócz tego porusza nogami szereg pedałów.

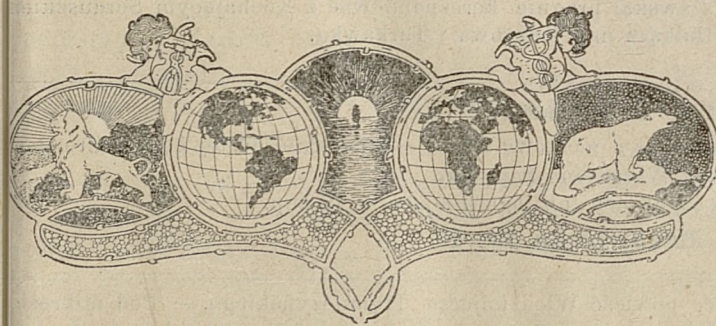
Przez ten czas cóż porabiała reszta towarzystwa? Koledzy opowiadali sobie różne anegdotki o Haarlemie. Wreszcie spostrzegli, że Ben i Lambert wyprzedzili ich znacznie.

— Ben dobrze łyżkuje — odezwał się Piotr. — Hej! Lambencie, Benie, cóż was tak pędzi!

— A wy, ślimaki, czemu w tyle zostajecie?

— Rozmawialiśmy; zresztą Poot chciał trochę odpocząć.

(d. c. n.)



ZE ŚWIATA.

Książka śnieżnej dziewczyny. Pod tytułem „Dzieci stref podbiegunowych,” ukazała się w Londynie książka najmłodszej autorki na świecie. Jest nią dziewięcioletnia córka znanego podróżnika Pearego.

Mała Marynia ujrzała światło dzienne wśród Eskimosów, nazwali ją Ahnighito, co w ich języku znaczy „śnieżna dziewczyna.” Książka jest dziennikiem podróży, którą pani Peary przedsięwzięła ze swą córeczką do stref podbiegunowych dla spotkania się z mężem. Historia krótkiego żywota zaczyna się od pobytu u babki, ale gdy ojciec „dużym, czarnym okrętem pojechał do swoich przyjaciół, ubranych w futra, i gdy potem nadeszła wiadomość, że odmroził nogi podczas okropnie srogiej zimy,” Ahnighito rzekła do matki: „Możebyśmy pojechały do tatusia. Potrzebuje naszej opieki.” Dopiero następnego lata, 20-go lipca 1900 r. wyruszyły z Portlandu na okręcie „Windward.”

„Nareszcie jedziemy z mamą do tatusia! — pisze Marynia. Podróż bardzo długa. Nie mogę się doczekać. Mam taki malutki pokój, że jedna musi leżeć, zanim się druga ubierze. Wszystko tu czyste i miłe. Bawię się z kotkiem.”

Przejeżdżały przez cieśninę Davis wśród gwałtownej burzy, trwającej dzień cały. Matka czytała powiastki dziewczynce, nagle wiatr rozbił szybę; nie wypadła jednak. „Czytaj dalej, mamusiu” — rzekła nieustraszona Ahnighito.

Tyle burz przeżyła, że już się ich nie lękała. Pierwszy postój wypadł w Godharnu stolicy Grenlandyi. „Kilkanaście domów z małymi piętarkami — pisze Marynia — mały kościółek, a poza tem lepianki o jednym oknie i kominie. I to ma być stolica! Zabawne!”

W Etah podpłynęła do okrętu łódź z Eskimosami, którzy opowiadali, że Peary jeszcze nie wrócił. Przynieśli od niego listy z wiadomością, że wyruszył do Fort Conger i tam oczekuje żony.

Kapitan „Windwardu” przed wyruszeniem dalej, musiał zabrać na okręt konserwy, cukier, ryż, mąkę, suchary i t. p. Zajęło to całą dobę. Ahnighito przeżyła ten czas na lądzie. Píše w swoim dzienniczku: „Przez cały dzień biegałam po ziemi. Widziałam domek ojca. Bardzo mały i bardzo pusty. Oglądałam także lepianki Eskimosów. Okropnie brudne. Szkoda, że tu niema więcej dzieci. Tylko jeden chłopczyk dziewięcioletni i jedna malutka dziewczynka, zabieramy ich ze sobą. Starsi pomagali mi zrywać kwiaty, które suszę.”

„Windward” płynął cały tydzień do zatoki Sabiny i był w nieustannem niebezpieczeństwie. Ilekroć ugrzązł w lodowcach, Ahnighito wylądowywała z Eskimosami i biegła po śnieżnych polach, albo jeździła na ski.

Okręt nie mógł się wydobyć z zatoki Sabiny, albowiem zamykały ją lodowe góry. Musiano tu przeczekać. Eskimosi pobudowali sobie szałas na śniegu i przy mniejszem paliwie utrzymywali w nich większe ciepło, niż na okręcie. Ahnighito nauczyła się już ich mowy i zaprzyjaźniła z nimi, a że była jednakowo ubrana, nie łatwo było matce poznać ją wśród towarzyszy zabaw.

W dniu swoich imienin 12 września, wyprawiła przyjęcie, które tak opisuje: „Przez cały tydzień mama piekła ciasto z rodzenkami, zrobiła piętnaście par pończoch i napełniła je daktylami, orzechami, czekoladą, cukrem lodowatym, śliwkami, pomarańczami, kukurydzą, do każdej pończochy wsunęła srebrnego dolara. Pośrodku stołu stało drzewko, jak na Boże Narodzenie. Naokoło leżały napchane pończochy. Eskimosi przyglądali się naprzód z wielką powagą, bo myśleli, że to jakiś obrządek religijny, ale widząc, że my się śmiejemy, rozweselili się także, zwłaszcza, gdy im rozdałam pończochy.”

Nareszcie przyszła wiosna, 6-go maja Ahnighito pisze w swoim dzienniku: „Zaledwie otworzyłam oczy, aż tu słyszę, że mama woła: Charley, Charley! Do kajuty wszedł olbrzym w skórach niedźwiedzi i reniferów i pytał o swoją córeczkę. Tatus był zdrow i przyjechał w dzień swoich urodzin. Obchodziliśmy je bardzo wesoło. Naturalnie wstałam i ubrałam się prędko. Pierwszy raz po trzech latach piliśmy razem śniadanie.”

ZADANIE KONIKOWE.

uł. Filolog.

	tem	ro	cem	ludz	
kłem	czy	cie	a	śli	ne
kwia	cia	sło	dob	wo	kie
ny	pącz	o	ży	do	ny
	wo	ży	myśl	po	

Z podanych powyżej sylab ułożyć dwuwiersz i nazwać autora tego aforyzmu.

SZARADA.

uł. Dyabełek.

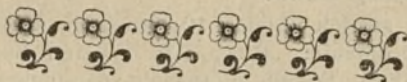
Krótko rzecz snuta:
Z początku nuta
Potem litera,
Dalej znów nuta,
A całość wzięta —
Prawda w tem szczerza —
Tytuł zawiera.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 14-go.

Metagramu: Babel — Wawel.

Zadania
liczbowego:

11	24	7	20	3
4	12	25	8	16
17	5	13	21	9
10	18	1	14	22
23	6	19	2	15



Odpowiedzi Redakcyi.

Henrykowi Sz. ze Lwowa. Należność za książki można przysłać albo markami rosyjskimi w liście, albo też rublami lub guldenami papierowymi.

Maryli G. z nł. Zgoda. Każdy kwadrat tablicy innym kolorem winien być pomalowany, co nie znaczy wcale, aby jednej i tej samej barwy powtórzyć nie można było, głównie rzecz idzie o umiejętne zestawienie kolorów. Można stawiać do malarskiego konkursu, nie stając do rysunkowego i odwrotnie.

Stanisławowi Świrskiemu. Niewielkie należności za książki można zawsze przysłać markami. Marki zużyte na misy mogą być i wklejone w kajecie, chociaż przysłać daleko wygodniej, gdy każda jest oddzielna.

Zielonej Małpce (?) Listy do Jaskółki przysłać należy pod adresem redakcyi „Wieczorów”, zaznaczając tylko na kopercie „dla Jaskółki”.

Odpowiedzi działu zadaniowego.

Trafne rozwiązanie zadań z ostatnich numerów przysłał następujący czytelnicy i czytelniczki: Wacław Świrski, Kujawiak z nad Warty, Lilijka, Słonecznik, Marya Zaleska z Łowicza, Mazur z nad Wisły, z Wielkiej Raczy, D. Adamsbaum, Warszawiak i Helcia z nad Prosną.

Zadania własnego układu nadesłane przez Warszawiankę Dyabełkę, Niebieską Perełkę, Kujawiaka z nad Warty, Wajdelotkę i Czarnobrewę zostały zaliczone do druku.

Jadwiśce. Łamigłówka wachlarzowa bardzo dobra w po myśle, ale możebyś wzięła inny temat. Wogóle do łamigłówek i zadań jako tematy najlepiej brać jakieś wyróżniające się miejscowości, nazwiska sławnych ludzi lub przysłowia i ustępy z poezyi.

Wymiana kart pocztowych.

(Za pozwoleniem rodziców lub opiekunów).

Roman Roszkowski (Warszawa, Radzymińska N. m. 12) życzyłby sobie korespondować z Mazurem z nad Wisły Litwinem z nad Szeszupy, Stanisławem Świrskim z nad Oku, Wacławem Świrskim z Muromu, Czarnym Orłem z Płocka Zuczkim ze Lwowa i Bocianem z Mińska.

Hania Baranowska (Warszawa, Nowo-Wiejska Nr. 9) pragnie zamieniać pocztówki z Łowiczanką, Jadwiśką, Stach Henneberżanką, Polską dziewczyną, Zosią Szyszkówną, Różą bez Kołców, Gospożą i Prymulą.

Józio i Zosia Słominscy (Galicja, Jaworzno przy Szezakowej) życzą sobie wymieniać karty z czytelnikami i czytelniczkami „Wieczorów”.

Helena Kłobska (Majdany przy Łęczycy, gub. Warszawskiej) pragnie korespondować z Kochającym Serduszkim Halką z nad Teterowa i Turkawką.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

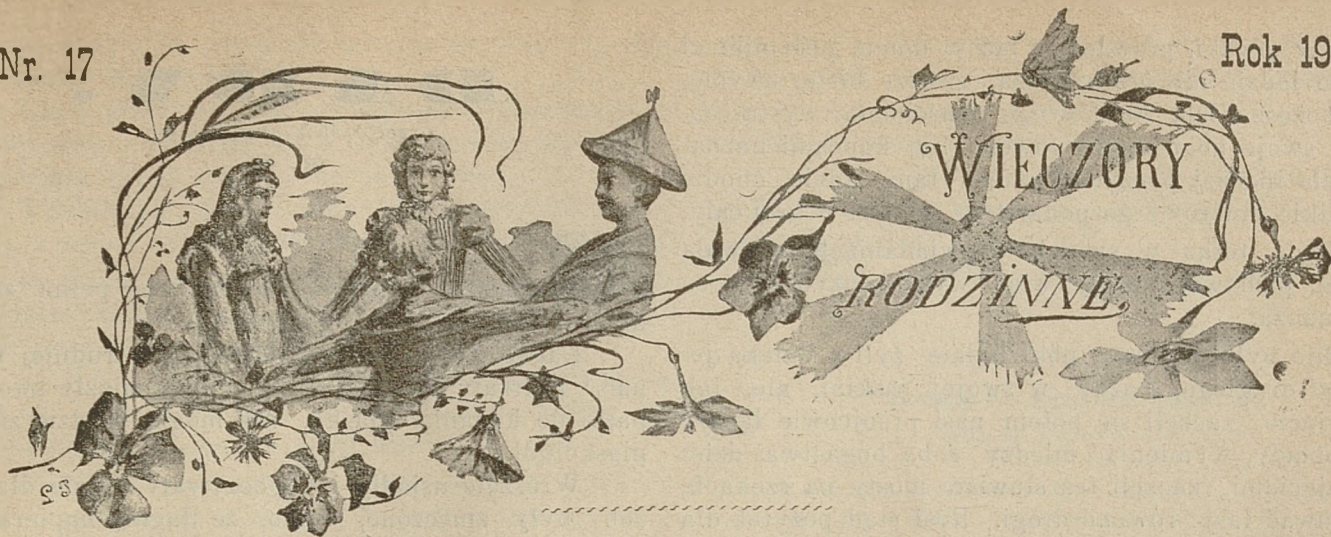
ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Wiosna Stasi, wiersz przez Milesa (z ryc.) — Psie pole, powieść Włodzimierza Trąpczyńskiego. — Pod mikroskopem. — Malownicza grupa gimnastyczna (z ryc.) — Czy to zwierzyzna? ryc. — Srebrne łyżwy, przekład A. M. — Złoty świat. — Łamigłówki i rozwiązania. — Odpowiedzi redakcyi. **Dodatek:** Lalka stara i nowa, wiersz przez Zofię Zacharkiewiczównę (z ryc.) — Moje opowiadania, przez Zofię Bukowiecką. — Dary, przekł. M. G. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Obowiązek, powieść dla młodzieży przez Julię Piasecką.

Redaktorka **Ludwika Hauke.** Доводено Цензурою. Варшава 3 Апрель 1904 г. Wydawczyni **Marya z Chomętowskich Balińska.**

W drukarni Noskowskiego, Warecka 15.



Lalka stara i nowa.



Zosia ma luleczkę nową,
Modrooką, złotowłosą.
Lalka suknię ma różową
I nie chodzi wcale boso. —
Ma pantofle z złotej skóry,
I na szyi pereł sznurki.

Zosia bardzo lalce rada,
Mówi do niej; „Niechże pani
Na fotelu miękkim siada,
To stosowne miejsce dla niej.
Dawniej zawsze tu siadała
Ańdzia, nim się zestarzała.

To wyrzekłszy Zosia mała
W tejsze chwili spiekła raczka
I czegoś się zadumała...
Stara lalka nieboraczka
W kącie leży porzucona,
Suknia na niej postrzępiona.

Ręce ma rozkrzyżowane
Jak ten, co w omdleniu pada,
Złote włosy potargane,
A twarz cała strasznie blada.
Zosię żal za serce ściska,
I już prawie płaczu bliska.

— Moja Ańdzia, moja biedna!
Jakże to jej teraz smutno,
Że tak leży sama jedna...
Byłam dla niej zbyt okrutna.
I na ręce lalkę bierze,
Ściska i całuje szczerze.

Daruj, daruj, moja droga,
Zem o tobie zapomniła,
Porzucona i uboga
Już nie będziesz moja mała.
A ty piękna strojna pani
Musisz mieć szacunek dla niej.

Zofia Zacharkiewiczówna.



Zofia Bukowiecka.

MOJE OPOWIADANIA.

(Dalszy ciąg).

IX.

Granice naszej ojcowizny i jej bogactwa.

Bywa tak, że kiedy umrze gospodarz, pan ziemi, którą potem swoim zlewał i której bronił od złych sąsiadów, to ludzie obchodzą jego rolę, kiwają głowami, chwalą porządki i mówią do syna:

— Piękne ojciec zostawił ci dziedzictwo, bacz pilnie, abyś z niego i kęsa nie uronił.

Piękne dziedzictwo zostawił Bolestaw Chrobry synowi swemu Mieczysławowi, którego dla odróżnienia od dziada Mieczysława II-im nazywano. Zanim jednak opowiem wam, jak się Mieczysław w dziedzictwie ojcowem rządził, rozejrzyjmy się i my po spuściznie Piastowej, zobaczymy jakie porastały ją puszcze, jakie przerzynały rzeki, jakie bogactwa kryła w ziemi, jakimi zieleniła się roślinami, jakie zwierzęta żyły na jej powierzchni. Zobaczymy zwłaszcza jakie porządki zaprowadzili w ojcowiznie Piastowicze gospodarze. Wszystko to zapamiętać powinniśmy boć ojcowiznę należy znać i wiedzieć, co warta.

„A czy znasz ty bracie młody
Twoje ziemie, twoje wody, z czego słyną, kędy giną?
A czy znasz ty bracie młody
Twojej ziemi bujne płody, a czy wiesz ty, co w nich leży?
Wyleć ptakiem z twego gniazda,
Miłać będzie taka jazda spojrzeć z góry na twe ziemie” —

doradza poeta nasz, Wincenty Pol, że jednak nie możemy wylecieć ptakiem ponad ojcowiznę, zrobimy tak jak robi dobry gospodarz. Zanim się rozejrzy w swem dziedzictwie, obchodzi on je dookoła i najprzód granic patrzy, czy pewne są, czy mu się sąsiad nie worze zdradziecko w pole, bo niech raz skibę urwie, już potem odebrać ją trudno.

Zacznijmy więc od opisu dawnych granic kraju naszego, gdyż posiadanie dobrych, to jest bezpiecznych granic jest dla każdego gospodarstwa bardzo ważne,

taki czy owaki, prowadzisz ład w domu, jeśli nikt ci w tym ładzie nie przeszkadza, zawsze będę zwyciężyć możesz. Dla wioskowego właściciela wystarcza, kiedy swoje pole okopie rowem lub kopcami naznaczy, ale inaczej poczynać należy tam, gdzie chodzi o wielkie zbiorowe gospodarstwo, to jest o kraj cały.

Będę teraz w swoich opowiadaniach używała wyrazu państwo, muszę więc wytłumaczyć wam co on oznacza.

Nie było państwa, póki ludzie żyli z daleka jeden od drugiego, każdy w swojej jaskini, ale, jak już wiecie, zaczęli się potem nasi praojcowie łączyć w gromady, wymieniać między sobą bogactwa, dzielić zajęciami, zaczęli też stawiać mosty na rzekach, karczować lasy, równać drogi. Rósł stąd pożytek dla wszystkich mieszkańców, wszyscy też musieli dbać o to, aby im nie psuto dróg, nie burzono mostów. Drogi i mosty były bogactwem wspólnem całej ludności kraju.

Bogactwo wspólne! Czy zastanowiliście się nad tem co oznacza ten wyraz?

Mówiłam już, że rodząc się, najbiedniejszy z nas ma bogactwa, których nie posiadali pierwsi osadnicy, nie posiadał nawet Lech ani Krakus, chociaż byli książętami. Nie mieli oni zapewne ani pieluszek, ani garnuszka na mleko. Sprzęty te są osobistą własnością każdego z nas. Dostajemy je od rodziców, dostajemy potem jeszcze i zdobywamy sami pracą wiele, wiele innych bogactw na naszą wyłączną własność. Ale prócz osobistego, wszyscy od urodzenia posiadamy bogactwa wspólne, do których mamy prawo, chociaż nie nasze ręce je wyrobiły. Najmniejsze dziecko ma prawo iść do kościoła, modlić się w nim, słuchać muzyki organów, patrzeć na piękne obrazy w ołtarzach. Dla czego? bo kościół jest własnością wspólną wszystkich ludzi. W dużych miastach znajdują się zbiory książek, które każdy czytać może, każdy też może wejść do muzeum i obejrzeć wykopaliska, zbroje, stare monety, oraz inne ciekawe przedmioty.

Kościół, księgozbiór, muzeum są więc bogactwami wspólnymi wszystkich ludzi zamieszkujących państwo, bogactwami ich są także koleje żelazne, drogi, mosty, poczty, gdyż darmo lub za małą opłatą, wszyscy z nich korzystamy.

— Cóż więc jest państwo? — zapytacie.

Państwo, jest to zebranie w gromadę wielu, bardzo wielu osadników, którzy postanowili żyć z sobą w zgodzie, wytwarzać wspólne bogactwa i bronić tych bogactw, gdyby im je zabrać chciano. Każde państwo musi zatem mieć wyraźne i dobre granice, aby ludzie w państwie tym mieszkający wiedzieli, że do tej rzeki, lub do tych gór jest ich kraj, ich ziemia, i że tej ziemi niewolno nikomu zabierać ani pustoszyć.

(d. c. n.)

DAR Y.

przełożyła z angielskiego

M. G.

(Dalszy ciąg).

N

niejsza o to! — powiedziała pełna zawsze ufności Kizia — i tak go znajdziemy!

Łatwo to było powiedzieć, ale trudniej wykonać. Patrzyły i szukały, ale choć znalazły swoje łopatki do kopania piasku, nie mogły nigdzie znaleźć piaskoludka.

Wreszcie usiadły i odpoczywały — nie dla tego żeby były zmęczone, tylko, że Jagnię napierało się gwałtownie usiąść — a niepodobna szukać starannie czegoś zgubionego w piasku, jeżeli się ma pod opieką bardzo ruchliwe dziecko, które trzeba ciągle pilnować. Upuśćcie w nadmorskim piasku scyzoryk a gdy pójdziecie go szukać, weźcie z sobą malerzkiego braciszka, przekonacie się, że mam słuszość.

Jagniątko — jak powiedziała Marta — radował się bardzo pobytem na świeżem powietrzu i skakał jak polny konik. Starsze dzieci chciały porozmawiać o tem, czego żądać od piaskoludka, kiedy (lub jeżeli go znajdą, a Jagniątko chciało się bawić i dokazywać).

Szukało tylko sposobności, by sypnąć całą garstką piasku w oczy Antei, a potem zanurzyło własną buzię w piasek i zaczęło wierzgać tłustymi nożkami w powietrzu. Naturalnie nasypało mu się piasek w oczy tak samo jak Antei, i zaczęło krzyczeć w niebogłosy.

Przezorny Robert przyniósł był z sobą mocną, dużą butelkę jałowcowego piwa, przewidując, że mu będzie się chciało pić — jak zwykle. Trzeba było co żywo odkorkować butelkę: był to jedyny płyn pod ręką do obmycia z piasku oczu Jagniątko, naturalnie piwo szczypało w oczy, skutkiem czego Jagnię zamiast krzyczeć — zaczęło ryczeć. Wierzgając wywróciło cenną butelkę i jałowcowe piwo rozlało się i wsiąknęło w piasek bez pożytku dla nikogo!

Wtedy to Robert, zwykle cierpliwy i wyrozumiały brat, zapomniał się tak dalece, że zawołał:

— Wszyscy mają na Jagnię ochotę? Doprawdy! Tylko oni tam w domu nie! Marta nie ma na nie ochoty, a mogła je sobie zatrzymać, a Jagnię nam tylko przeszkadza, nic więcej. Jest nieznośne! Chciałbym, żeby naprawdę wszyscy bez wyjątku mieli na niego ochotę i pieścili się z niem, a żebyśmy mogli być raz już spokojni i swobodni bez niego!...

Jagnię przestało krzyczeć, bo Kizia przypomniała sobie nagle, że jeden jest tylko sposób na usunięcie czegoś co wpadło w oko małego dziecka: wylizanie oka miękkim, wilgotnym językiem. Bardzo to łatwo zrobić, jeżeli kocha się małego tak bardzo, jak się powinno kochać...

Potem nastąpiła chwila milczenia. Robert nie rad był z siebie, że się tak rozgniewał, a reszta dzieci także była z niego niezadowolona. Możecie nie



raz zauważyli, że milczenie nastaje zwykle, gdy ktoś powiedział coś niewłaściwego.

Ciszę przerwało nagle głębokie westchnienie. — Głowy dzieci zwróciły się w tamtą stronę, jak gdyby za pociągnięciem sznurka na dane hasło.

I zobaczyły piaskoludka siedzącego tuż przy nich, z czemś nakształt uśmiechu na kosmatej twarzy.

— Dzień dobry! — przemówił psamed. — Bardzo łatwo mi to przyszło. Teraz wszyscy będą chcieli mieć waszego braciszka.

— Nie o to idzie — odpowiedział Robert z dąsem, bo czuł, że postąpił szkaradnie... — Zresztą nie ma tu nikogo, ktoby go mógł chcieć...

— Niewdzięczność — wyrzekł zwolna piaskoludek — jest wstrętną wadą. To było wasze życzenie.

— Nie jesteśmy niewdzięczni — przerwała żywo Kizia — ale nie mieliśmy *naprawdę* tego życzenia. Tylko jeden Robert to powiedział. Czy możesz zabrać je napowrót i dać nam co innego w zamian?

— Nie, nie mogę — odparł krótko psamed. — Kaprysy i zmiany nie prowadzą do niczego. Powinnościście się dobrze zastanowić, zanim czego rzeczywiście zażądacie.

Nagle Jagniątko spostrzegło, że coś brunatnego i kudłatego siedzi w pobliżu.

— Kici! kici! kici-i-i-i! — zaczęło wołać wyciągając rączkę.

— To nie kotek — tłumaczyła Antea, gdy piaskoludek rzucił się gwałtownie w tył.

— O! mój lewy wąsik! — wykrzyknął! — Ono jest całe mokre! Niech mnie nie dotyka!...

Sierść najeżyła mu się z przerażenia; rzeczywiście, znaczna część rozlanego piwa zmoczyła niebieską sukienkę Jagnięcia.

Piaskoludek zaczął gwałtownie grzebać rękami i nogami i znikł w jednej chwili wśród tumanu piasku.

Dzieci naznaczyły to miejsce całym szeregiem kamieni.

— Teraz możemy wracać do domu — przemówił Robert. — Przykro mi, to prawda, ale w każdym razie nic się złego nie stało, choć i nic dobrego, a już wiemy, gdzie szukać jutro tego piaskarza...

Reszta dzieci znalazła się wspaniałomyślnie. Nikt nie zrobił wymówki Robertowi. Cyryl wziął na ręce Jagniątko, które odzyskało już zwykły hamor i poszli wszyscy spokojnie drogą.

Droga z kopalni piasku łączy się z gościńcem.

W miejscu połączenia całe towarzystwo zatrzymało się, żeby przeładować Jagnię z pleców Cyryla na plecy Roberta. Podczas tej czynności ukazał się na gościńcu piękny powóz ze stangretem i lokajem na koźle, a w powozie siedziała dama — wielka jakaś pani, ubrana w białą koronkową suknię z czerwonymi wstążkami — z białym jedwabistym pieskiem na kolanach, ustrojonym w czerwoną wstążkę na szyi.

Spojrzała na dzieci, potem na maleńkiego i uśmiechnęła się do niego. Dzieci były do tego przyzwyczajone, bo maleńki podobał się ludziom — był według wyrażenia służby „istna przylepka.” Więc

ukłoniły się uprzejmie pięknej pani, sądząc, że przejedzie mimo nich. Ale nie przejechała. Kazała stangretowi przystanąć i skinęła na Cyryla, a gdy się zbliżył do powozu, powiedziała:

— Co za śliczne dzieciątko! Ach! jakbym pragnęła wziąć je za swoje... Jak myślisz, czy wasza mama zgodziłaby się na to?

— Nie zgodziłaby się nigdy! — odrzekła Antea. (d. c. n.)

Zadanie na dobieranie końcówek.

ułożyła Mania z Rysiej.

Pełno nas, pełno na Bożym świecie!
Jest się z kim szczęściem podzielić.....
Ile każdemu potrzeba
Znajdzie się źródło, cienia i.....
Jednego ojca jedne my dzieci,
Od muszki aż do człowieka,
I równo słońce dla wszystkich.....
I równa nam.....

Łamigłówka na rozsypane litery.

ułożyła Miri dla J. Malinowskiej.

A, e, e, i, i, k, k, k, k, k, l, n, o, o, o, r, r, u, u, w, w, y.

Wszyscy bez różnicy
Czytelniczki, czytelnicy,
Aż dwadzieścia trzy litery,
Macie hojnie dzisiaj danie,
Abyście z nich ułożyli
Nie zwlekając ani chwili,
O kruku przysłowie znane.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 10-go.

Zagadki w obrazku: Pani znajduje się u dołu, głową zwrócona w prawą stronę.

Rebusiku: Na — u — ka.

Skrzynka do listów.

Smacznego apetytu, pisklęta moje! Tyle dziś w listach waszych znalazłam szczegółów o przysmakach świątecznych, że zapachniały mi mazurki. Niestety! moimi poczęstować was nie mogę, chociaż Jaskółka umie piec łakocie, zaręczam za to mojem ptasiem słowem. Znać się na kuchni powinna każda z nas i cieszy mnie, że tyle między korespondentkami mam dobrych gospodyń, które pomagają swoim mateczkom w przyrządzaniu święconego. Cieszą mnie i życzenia odebrane od **Promyczka z nad Volgi**, pierwszy raz ten Promyczek błysnął w naszej skrzynce. Dziękuję **Bączkowi i Morelce** za kartę, Niestety o Zosi z Pekinu nie wam donieść nie mogę, bo mileczy w tym roku. **Polska Dzięwczyzna, Danuśka, Ciocia Ewa, Czarnobrewa, Bryłańcik, Perelka, Muszelka z Ussy, Konwalia i Wiśnula, Wańdzia, Czwórka Grzybowska** przysłały też życzenia Jaskółce, a **Gospośia** kochana pamiętała wszystkie k pisać z długą łaską, czem sprawiła mi prawdziwą przyjemność. **Dzika Gaska** doniosła o swojej i **Dzikusa z Ustronia** doskonałej cenzurze, a wy wiecie, jak ja się cieszę waszemi postępami w nauce. Cieszę się i tobą, **Carissimo**, że rozumiesz znażenie modlitwy nie tylko w pięknych świątyniach, ale w ubogim wiejskim kościółku. Powinniśmy serca nasze

zamienić na ołtarz Boży i czuwać, aby płonęły szlachetnemi, godnemi Stwórcy, uczuciami.

„Postanowiłam sobie zawiązać na starość korespondencję z Jaskółką” pisze **Leśny Storczyk**, który oddawna prenumerując „Wieczory”, dziś się dopiero odezwał. A ja, mój Storczyku, dużo słyszałam o twoich rodzicach i dumna jestem z pozyskania korespondentki, która na piękną i owocną pracę patrzy w domu.

I o twojej rodzinie, **Leśna Sarenko**, mogłabym wiele powiedzieć, chociaż pierwszy raz odzywasz się do Jaskółki. Krążyła ta Jaskółka nad Wartą, była w Czeszewie w gnieździe wielkiego uczonego Libelta, a tam ze czcią wspominają wasze nazwisko.

Piszesz, **Draceno**, że uważają cię znajomi za ozdobę towarzystwa, w takim razie trafny wybrałaś pseudonim. **Dre-cena** to piękna roślina, ale nie utuli ona gałązkami tych, którzy pragną odpocząć w jej cieniu po troskach życia, nie ma miękkości pocziwej naszej brzozy, co choć mniej wyniosła, pieściotliwa jest i współczująca. Czemu nerwami tłomaczysz opryskliwość, **Draceno**? Kto kocha, ten ukochanych nie rani i potrafi zapanować nad nerwami. Nerwy! ale czyż mamy do nich prawo, my syci ciałem i duchem, kiedy koło nas tylu głodnych chleba lub nauki, cóżby dopiero oni na obronę nerwów powiedzieć mogli. Nie doradzę ci monologów, bo nie znam odpowiednich, bardzo jednak pragnę listów twych, **Draceno**, napisz mi, co dajesz ludziom w zamian za ich pochwały i uprzejmość dla ciebie.

A ty co dajesz im, **Łzo polskiego boru**? pytam z ko-i nowej korespondentki, bardzo milej, bo wierzącej, że znaj-zie we mnie serce, które ją zrozumie. Tak, rozumiem cię, zo, i tulę z całej duszy, rozumiem żal twój sierocy, tylko roz-pryczenia nie podzielam. Jeśli istotnie masz zaufanie do skółki, to opisz dzieje twoich skarg, a może uda mi się zekonać cię, że za wytrwałą miłość ludzie płacą uczuciem. resztą w samej miłości leży już nagroda. Dawanie wielkiem st szczęściem, dawajmy po królewsku, bez odliczania pro-ntów wdzięczności. Bardzo pragnę twoich listów, **Łzo**, i cze-m ich niecierpliwie.

I ciebie, **Łaszko**, chciałabym utulić po stracie braci-ka, ale nie nagrodzona to strata, więc tylko płakać z tobą ogę i prosić Boga, aby złagodził smutek szanownych twoich dziców. Pseudonimu, o który pytasz, nie znam.

Brylancik bardzo mnie ucieszył swoją kartą, a kocha-**Dzikus z Ustronia** wiadomością o szczęśliwym powro-**o** ojca. Dzielę waszą radość, jak dzielę smutek **Kąkola**, órego staraj się rozrywać **Dzikusie** i napisz mi, czy ci się udało.

Prawda, że dawno nie pisałaś, **Biruto**, ale Jaskółka by-ci wierna i czekała z ufnością na dowód pamięci. Za mar-dziękuję w imieniu murzynków.

Dziękuję, **Halszko Dadzibożko**, za okruszynę; cen-to okruc, bo własną pracą zdobyty, oddam go biednym, tobie donoszę, że książka już wysłana.

Dziękuję też serdecznie **Józefowi K.** i **Nieświadome-u** za kolekcję marek. Znaczenie wyrazów objaśni redaktor.

Skowronek z nad Wilii pisze bardzo starannie, pe-nie też **Skowronku** dostaniesz n grodę, a czy twoja **Wandzia** st dobra? Gdyż nie dla piękności, tylko dla szlachetności ochamy wszyscy **Wandę**.

Władziowi, Marynce i Janiowi dziękuję za album lasnej roboty przysłane biednym dzieciom. Piękna to była yśl, dała wam radość dobrego uczynku, da uciechę tym, órzy mało doznają uciech.

Czy chcesz być **Mandarynką**, Mariolo? Twojego pie-a nazwałabym **Moruskiem** lub **Plamką**, donieś mi, czy po-bają ci się te nazwy i pamiętaj zasiał kwiatki w ogródku, tak lubię kwiaty, będę myślała o tobie, podlewając moje azoniki.

Odgadłaś **Powiślanko** kochana, czego najwięcej pra-nę. Ach! gdybyż moje rady mogły dać pożądane owoce, ja-

kiemże szczęściem byłaby Jaskółcza praca. Ty rad tych naj-mniej potrzebujesz, bo czcigodna twoja matka i siostry uczą cię przykładem podniosłego spełniania obowiązków, uczą cho-rych leczyć, nieumiejętnych nauczać, uczą zwłaszcza *kochać* tych, względem których pełnisz dobre uczynki, to najważniej-szy ich warunek. Bez miłości pozostałby martwym czynem, o tem pamiętać należy.

Dziękuję i tobie, **Sarmatko**, za szlachetny pomysł uczczenia jubileuszu „Wieczorów”. Pamiętając, że interesu-jesz się chorem dziećmi w szpitaliku, pragnęłam tam skie-rować twoje i szanownej twej intencje. Niestety! utrzy-manie jednego łóżeczka przez rok kosztuje aż 175 rubli, jest to tak wielka suma, że o zebraniu jej marzyć nie może Ja-skółka, ale wdzięczną będzie zawsze za dobre wasze chęci.

Na smutną nutę miauczysz, **Kotko z Pilawy**, jakaż to bieda z temi chorobami, ciocia słusznie robi, strzegąc cię od zarazy. Jakże nie pragnę zdrowia dla **Koteczki**, która tak sumiennie o obietnicach swych pamięta i miesięczne kopiejk-i na wpisy przysyła. Bodajby twój przykład, **Kotko**, znalazł na-śladowców, bardzo to ważny przymiot wytrwałość w dotrzy-maniu przyjętego zobowiązania. Łatwiej jest raz pójść za pope-
dem serca, niż przyzwyczaić to serce do jednostajnej, syste-matycznej pamięci o potrzebach bliźniego, dziękuję, **Koteczko**, dziękuję!

Kocham cię, **Prządko złotych nici**, za powiastki opo-wiadane **Zdzisiowi**, tyle razy myślałam o tej sierotce, której ty matkę zastępujesz. Nie żałuj oddanego mu czasu, Bóg do-pomoże ci w egzaminach, bo On to kazał nam mieć litość nad maleńkimi.

No, no, **Łaszko**, dość jęku! Nie płacz, nie mdlej w mym ręku, No, no, przytul się do mnie...” Dotąd mówi **Odyniec** w swej balladzie, a teraz ja dodaję: przytul się, **Łaszko**, my-ślą do serca Jaskółki, nie narzekaj na jej obojętność, odczuj, że ona cię kocha, że cieszy się dobrą twą cenzurą, dziękuję bardzo za fioletek, a prosi, byś przystała na dodatek do pseudo-nimu. **Łaszka Budrysowa** zwać się będziesz, inaczey nie rozróżnie w odpowiedziach dwóch moich korespondentek

Piękną nazwę obrałaś sobie, **Praco**, i pięknie opisujesz miejscowości, ja jednak myślę, że najdroższą dla nas pielgrzym-ką będzie zawsze pielgrzymka do Częstochowy. Czy **Zofia** jest imię twojej szanownej mamy, **Praco**? w takim razie od wielu lat nauczyłam się wspominać ją z wielką sympatią i słyszeć pochwały dla talentu mateczki.

Dziękuję **Lilijce** za ciekawy opis teatru maryonetek, bardzo mnie zajął.

Twoja róża, **Sokole**, bardzo mi się podobała, sądzę, że możesz stawać do konkursu malarskiego, a nie zniechęcam cię też i do pisania poezyi, tylko radzę czekać jeszcze z ich drukowaniem. O szaradach i rebusach decyduje redakcyja, co zaś do radu, odkrytego przez p. Skłodowską, to mogę podzie-lić się z tobą pomyslną wiadomością. Geolog **Knett** odkrył rad w osadach mineralnych w Karlsbadzie, znaleziono także ten kosztowny minerał w leczniczych szlamach włoskich. Kto wie, może nasz **Solec**, **Busk**, lub **Ciechocinek** posiada cudo-wny rad, któremu wszyscy są radzi, bo stanowi wielkie bo-gactwo. **Łaszko**, większa, wielkie usługi obiecuje oddać lu-dziom.

Niesłusznie gniewasz się na mnie, **Dyabelku**, o sza-radach decyduje redakcyja, jej też list twój oddałam, a tobie dziękuję za życzenia dla Jaskółki i dla „Wieczorów”.

Piszesz, **Miry** droga, jakim dowodem zyskać masz moją przyjaźń, a mogłabym nie mieć jej dla ciebie, kiedy ufasz memu sercu i radzisz smutnym jak **Łza** udawać się do Ja-skółki. Dziękuję ci za wiarę w moje przywiązanie, ach! gdy-bym mogła pocieszyć wszystkich strapionych i wlać w ich serca miłość ideału, która jedynie ból zwycięża. Ty umiesz kochać, **Miry**, świadczy o tem twój list, za który na zawsze wdzięczną ci zostanie wasza

Jaskółka.